

Historia

Losy wojenne

Tekst: Krystyna Orłowska, cz.4

W naszej chałupie znajdował się piec, ale nie było w nim czym palić. Otaczał nas bezkresny step, gdzieś bardzo daleko, na horyzoncie, było widać zarys gór – tam leżała już Ałma-Ata. Step nie dostarczał materiału na opał, a trawy na nim było niewiele. Mieliliśmy trudności z ugotowaniem czegokolwiek. Ale w cegielni były drewniane szalasy, w których suszono mokre cegły ułożone w formach na ziemi. Deski przekładano jedna na drugą, aby była wentylacja.

W pobliżu szalaszów często leżały połamane deski. Któregoś dnia, idąc z Jagusią i Natalką, natrafiłam na drodze na kawałek dużej deski. Bez namysłu podniosłam ją z zamiarem zanieśnięcia tej zdobyczy do domu. Ktoś mnie zauważył i zawołano mnie do kantoru. Tam stanęłam przed „precidacielem” o nazwisku Baran i jego pomocnikiem. Baran zaczął czytać coś z jakiejś książki, rozumiałam piątę przez dziesiątę. Przyszła przerażona mama, ktoś jej powiedział, że ukradłam deskę. Konsekwencje mogły być tragiczne – nawet więzienie. Jak Baran skończył swoją mowę, zapytał czy „ponimiałam”, na wszelki wypadek powiedziałam, że tak – „to paszła” – rzucił do mnie. Odprawił mnie, ale bez deski, bo to dobro państwowe. Ominęła mnie surowa kara, chyba tylko dlatego, że sam Baran i kilka innych osób często w nocy chodzili do odległych, pustych szalaszów i po prostu te deski celowo łamali i przynosili do chałupy na opał. Baran wiedział, że mama o tym wie, ponieważ pożyczła (w zamian za kawałek deski) od niej naszą latarkę, która jeszcze działała.

W podobny sposób zaopatrywano się w jedzenie. Parę kilometrów od cegielni była piekarnia. Także w nocy chodzili tam nasi towarzysze i kupowali, czyli zamieniali, jakieś rzeczy na mąkę, parę jajek, czasem kartofle lub ogórki.

W naszym codziennym życiu w cegielni ważną rolę odgrywała Dusia. Dusia była pyzata, zezowata i wesoła, a jej zadaniem było wydawanie chleba. Późnym popołudniem otwierała swój „sklepek” – czyli kłapę od okna w małym baraku i wtedy dla wszystkich było wiadomo, że jest chleb. Natychmiast ustawiała się kolejka. „Instytucja” kolejki działała bez zarzutu. Już wcześniej rano ktoś stawał pod sklepikiem, po czym przychodziła następna osoba i oświadczała: „ja za tobą”, wtedy ten pierwszy odchodził. Przychodziła kolejna osoba i historia się powtarzała: trzecia, czwarta, piąta osoba itd. – ale faktycznie przez cały dzień stała w kolejce tylko jedna osoba. Z chwilą, gdy Dusia otwierała okno, wszyscy wracali na swoje miejsce. Każdy pamiętał, kto był przez nim, a kto za nim. Nikt się nie pchał, nie przepychał. Bardzo mnie to bawiło.

Chleb był odważany z wielką dokładnością, zgodnie z tym, co komu się należało za talony. Chleb był ciężki i lepki jak glina, często suszyliśmy go na słońcu. Któregoś dnia, już po wydaniu chleba, przed sklepikiem zaczęła ustawiać się nowa kolejka – nowość dla wszystkich – co jest do kupienia? Okazało się, że do nabycia były... damskie, filcowe kapelusze! Przysługiwał jeden na osobę. Nie miałam zamiaru stać w kolejce po kapelusz, gdyż myślałam: po co komu na stepie, w cegielni kapelusz? Mama zdecydowała inaczej: z kapelusza uszyła mi kaptcie. Innym razem Dusia rozdzielała mydło, znowu na talony. To była brązowa masa o niemiłym zapachu. Ulepiłam z niej placki i suszyłam na dachu chałupy. Na szczęście miałyśmy jeszcze parę kawałków mydła do prania z Polski. Robotnik, który chodził do miasteczka i przynosił machorkę (tytoń), a także dostarczał gazety, niezbędne do skręcania papierosów – a mama paliła – powiedział nam, że w jednej z gazet jest informacja o polskim generale. Zaczęliśmy szukać. Była to wiadomość o podpisaniu umowy pomiędzy Majskim, gen. Sikorskim czyli z rządem w Londynie, na podstawie której Polacy przebywający w więzieniach, łagrach i na posiołkach mieli być objęci amnestią. Dodatkowo na terenie Rosji miało powstać polskie wojsko do walki z Niemcami. Było to parę miesięcy po najeździe Hitlera na Rosję, która od razu stała się sojuszniczką aliantów. Generał Sikorski miał przybyć do Moskwy w celu podpisania tej umowy. Była to dla nas wstrząsająca wiadomość – wraz z nią rodziła się nadzieja odmiany naszego losu. Ale poza wiadomością wyczytaną w gazecie nie dotarły do nas żadne inne nowiny. Porozumiano się więc z lokalnym oddziałem NKWD, żądając wyjaśnień. W rezultacie pozwolono nam chodzić do miasteczka, ustały nocne odwiedziny. Mieliliśmy oczekiwać na przysłanie odpowiednich dokumentów umożliwiających opuszczenie cegielni.

W tym czasie Dusia zrobiła nam wielką przysługę. Poza wydawaniem chleba pracowała w bufecie na stacji kolejowej. Powiedziała nam, że w pociągach jadących z północy na południe często jadą Polacy zwolnieni z więzień i łagrów, i że zmierzają do oddziałów wojska. Z młodszą siostrą Irki – Lusią – zaczęłyśmy chodzić na stację oddaloną o parę kilometrów. Z nadzieją, że może wśród nich będą nasi ojcowie. Dusia wpuszczała nas na peron bez „peronówki”, co było dużym ułatwieniem. Kiedy pociąg zatrzymywał się na stacji, my przez kilkanaście minut biegając wzdłuż wagonów, wołałyśmy głośno po polsku, powiadając, że tu są Polacy. Kiedy w pociągu byli obecni zwolnieni rodacy, to zaraz nawiązywała się rozmowa. Oni także byli ciekawi, kim jesteśmy, z jakiej miejscowości, sami podawali nam nazwy więzień i łagrów. Byłyśmy z Lusią

zaopatrzone w kartki z nazwiskami osób przebywających w cegielni z prośbą o dalsze przekazanie ich, gdy dojadą do wojska.

Ponieważ już wolno nam było opuszczać cegielnię, chodziłyśmy do miasteczka, gdy raz w tygodniu odbywał się tam targ. Można było kupić jajka, czasem pomidory i ogórki czy topione masło w butelkach. Raz udało się kupić gotowane jeryzyny. Oferowane towary nieraz były umieszczane w... nocniku, który najwyraźniej zastępował garnek. Handel odbywał się drogą wymiany. Łatwo sprzedawało się bieliznę pościelową i ubrania. W miasteczku była liczna grupa rosyjskich rodzin wojskowych ewakuowanych z Leningradu. Rodziny te miały kartki do specjalnego sklepu, gdzie wybór towarów był trochę większy. Towary te wymieniano na targu.

Bardzo energicznie zajęłam się „handlem”, tzn. wymianą naszych rzeczy na ruble i na jedzenie. W ten sposób robiłam zapasy na drogę. Niewiele tego było, głównie jajka na twardo i suchary. Po otrzymaniu od NKWD dokumentów niezbędnych do wyjazdu, należało się tylko postarać o aktualne zaświadczenie z „odwzsalni” czyli dezynfekcji. Wtedy jeszcze nie miałyśmy wszy, ale one zjawily się później. Ryzykiem było przechodzić przez „odwzsalnię”, gdzie wszystkie ubrania pakowali do jednego worka. Za kilkanaście rubli dostałyśmy zaświadczenia, że przeszłyśmy dezynfekcję.

Po niespełna pięciu miesiącach pobytu opuściliśmy Pościelichę i cegielnię. Wróciliśmy do Rubcowki. Tam organizowano transport na południe, na spotkanie z wojskiem polskim. Było tam już wielu zesłańców z wileńskiej wywózki. Nie wiem, kto organizował ten transport, kto za niego płacił, ale tym razem wagony były osobowe. Dojeżdżając do Ałma-Aty, miasta jabłek, w powietrzu unosił się ich zapach. Gdy pociąg zatrzymał się, wyszliśmy na peron, na którym leżały sterty jabłek. Tych owoców nie widzieliśmy od wyjazdu z Polski. Ktoś sięgnął po jabłko – okazało się wszystkie były zgniłe, mokre i lepkie, widać zwieziane przez kolchozników do transportu, nie wiadomo jak długo tak leżały.

Dojechaliśmy do Taszkentu, stolicy Uzbekistanu, gdzie miały już przebywać polskie oddziały. Zastała nas przykra niespodzianka, gdyż formujące się oddziały na północy w Buzułuku jeszcze nie dotarły do Taszkentu i nie wiadomo było, kiedy przybędą. Nasz pociąg skierowano do Tadżykistanu, a następnie z powrotem do Uzbekistanu. Po paru dniach wędrówki z miejsca na miejsce minęliśmy Samarkandę, miasto Dżyngis-chana, i dojechaliśmy do Farabu, położonego nad wielką rzeką Amudarią. Farab był chyba portem rzeczonym, gdyż było tam sporo różnej wielkości łódek i wielkich barek. W Farabie zastaliśmy wielu Polaków, którzy tak jak my jechali w stronę wojska polskiego. Byli to zesłańcy wywiezieni z kresów w zimie 1940 roku, pracowali przy wyrębie lasów na dalekiej północy. Ich przeżycia i cierpienia, jakich doświadczyli, były tragiczne. Nad rzeką pod gołym niebem powstał wielki obóz. Dołączały do niego następne transporty. Podobno było nas tam ponad dwa tysiące osób.

Niby byliśmy już wolni, ale NKWD nadal nas pilnowało. Kazano nam ładować się do barek, by jechać do pracy w kolchozach oddalonych o dziesiątki kilometrów od linii kolejowej, gdzieś w stepie. Ludzie zaczęli się przeciwstawiać, doszły bowiem słuchy, że na barkach odbywają się okropne sceny. Barki przeładowane ludźmi były bliskie zatonięcia, brakowało wody do picia i jedzenia. Warunki były nie do zniesienia, parę osób zmarło z wycieńczenia. Byliśmy już na barce zaprowadzeni w nocy przez uzbrojonych żołnierzy. Zebrała się tam grupa młodych Polaków, którzy zorganizowali straż przy barkach, pomagali nam z nich wyjść. W obozisku był też ksiądz, który odprawił mszę świętą. To było wielkie, wzruszające przeżycie, gdy po zakończeniu mszy ten tłum wygłodniałych ludzi zaczął śpiewać „Boże coś Polskę” i inne kościelne i patriotyczne pieśni.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy – czy przy wyjeździe z cegielni, czy już w Rubcowce – dołączyła do nas „babcia”. Była to starsza pani, samotna, potrzebowała pomocy. Moja mama jej tę pomoc ofiarowała. Od tej pory była zawsze z nami. W Farabie na rynku nie było nic, co nadawałoby się do wymiany towarowej. Raz udało nam się kupić bardzo słoną bryndzę (ser). Brakowało chleba, zapasy kończyły się, o gorącej stawie nie było mowy. Zbliżała się zima, w wraz z nią zimne noce i deszczowe dni. Kierownicy transportów bardzo kategorycznie upominali się, by nas z powrotem wysłano do Taszkentu. Raz nawet zażądali, by dano nam chleb – bo jesteśmy przecież wolni, jedziemy do wojska bić „germańca” i nie można nas tak głodzić, bo jak nie dadzą, to napiszemy do Stalina. Groźba poskutkowała. Dostaliśmy chleb. Powoli obozowisko malało.

Podstawiali po kilka wagonów dziennie i ludzie odjeżdżali, ostatnie kilka dni w Farabie siedzieliśmy w jakiejś wielkiej szopie. Tam dzieci zaczęły chorować, jedno po drugim. Przyszedł czas i nam podstawiono wagony. Pojechaliśmy do południowego Kazachstanu, do dużego miasta Turkiestan, skąd wąskotorówką do stacji Siego, położonej około stu kilometrów od miasta – ledwo pamiętam tą stację, było tam w pobliżu dużo jakiś ogromnych kamieni.

Siedzieliśmy na stacji, padał deszcz ze śniegiem. Dopiero następnego dnia przydzielono nam glinianą chałupę. Było w niej bardzo tłoczno, wielu ludzi leżało pokotem. Wśród nas było paru zwolnionych z łagrów – oni niczego nie mieli, tylko łachmany na sobie, wszy i metalowe puszkę na wodę. Ja również zachorowałam. Miałam wysoką temperaturę, to była odra. Siedzieliśmy na ziemi, padał śnieg z deszczem. Mama nie oddała mnie jednak do szpitala, który był w miasteczku. Od początku do końca grudnia zmarło na odrę ponad dwadzieścioro dzieci. Zmarła też mała Jagusia, którą opiekowałam się w cegielni. Mnie udało się przeżyć odrę. Przeżyła ją również Danusia, która mieszka obecnie w Kalifornii.